

71 NAKOLANACH

Nie szargaj świętości! — powiada słusznie moralny postulat, a życie często potwierdza jego siłę. My, Polacy, potrafimy jednak z obrządku „uświadczenia” zawsze zrobić parodię. A przynajmniej doprowadzić do zaprzeczenia pojęcia. Aż miło patrzeć, jak tłumy oficjalnie walą do wawelskiej krypty, by oddać hełd Marszałkowi. Kogóż tam dzisiaj nie ma?! A jeszcze niedawno... jeszcze niedawno garstka wiernych i odanych w konspiracji, a często również w zagrożeniu, z uporem codziennie zmieniała kwiaty. Czy grupa ta ma dzisiaj satysfakcję? Na pewno tak, chociaż wielu spośród obecnie kłęczących nie powinno się do Naczelnikowej trumny dopuścić. A może inaczej, bardziej po chrześcijańsku — to oni sami z wyboru, z wyboru kiedyś przez nich samych dokonanego, nigdy nie powinni zmieniać swej skóry nieprzejednanego ponoć przeciwnika.

Bądź wierny sobie! — uczy inna, wewnętrznie mająca budować człowieka zasada, a rzeczywistość nieustannie próbuje ją złamać. Dziś Tadeusz Kantor który jako syn byłego Hallerczyka wprowadził do swej metafizycznej „rewii” — „Niech szczególną artyści!” postać Piłsudskiego w nieco dwuznacznej (jak wszystko u niego) funkcji, jest nietypalnym Naczelnikiem Polskiego Teatru. Cokolwiek powie, już rozlegają się faniary. Nie zdąży jeszcze sformułować nowej inwektywy, skierowanej przeciwko totalnie zmienawidzonemu otoczeniu, a już dziennikarski szczebiot

panienek z DTV słychać z kolejnych wydań tego najgorszego programu.

Kłeczenie przed Profesorem jest dziś modne i słuszne. A jeszcze... jeszcze niedawno w Kantorze wierzyła jedynie trójca krytyków, a jeden jedyny człowiek robił z nim telewizyjne programy. Pierwszy film o Cricocie 2 powstał dzięki... nieuwadze decydentów, którzy przez wiele miesięcy nie zamierzali go skolaudować. Co więcej, na tych przeglądach padały zdania o szkodliwości owego filmu dla polskiej państwowości... Dziś jest to klasyka dokumentu, a prawdziwy brylant pamięci kryje się we wspomnieniu, jak to ci sami kolaudanci, którzy jeszcze niedawno upatrywali w „Szatni Tadeusza Kantora” rodzaj sabotażu, padli od razu na kolana, kiedy zdroworoządkowo i po wiktoriańsku myślący Janusz Wilhelm wywołał ich do odpowiedzi. Kogóż wśród tych Siedmiu Wspomnianych nie było?! Ostatnio usłyszałem zwierzenie jednego z nich, z jakim uporem i trudem lansował... sztukę Kantora. I jak był wierny... sobie.

Jakże mądrze w kontekście polskiej recepcji dwóch postaci: polityka i artysty, brzmią słowa Amerykanina, naturalizowanego Greka, wielkiego reżysera Elii Kazana. Ten Anatolczyk (prawdziwe nazwisko: Kazanjoglou) w ostatnio wydanej autobiografii zatytułowanej dumnie „Życie” tak oto poczynił zwierzenie, kiedy stwierdził: „Tak w ogóle, to jestem szczęśliwy. Wszyscy Anatolczycy oczekują najgorszego,

gdy wiedzie się im najlepiej. Zuję więc mając się na bacności i wobec przeznaczenia, i wobec fortuny, ale wcale się przed nimi kryć nie zamierzam”.

Caiły ten tok myślenia o przejawach Polskiej Gęby i Polskiej Pupy w otaczającym nas i kształtującym kontekście życia społecznego, wywołała teatralna premiera Idzie o „medytację o sakramencie małżeństwa przechodzącą chwilami w dramat” (bo taki gatunkowy podtytuł otrzymała) — „Przed sklepem jubilera” Karola Wojtyły. I od razu, by nie było nieporozumień: nie chodzi o wykazanie, że ze względu na słabość rzecz na scenie ukazać się nie powinna. Bo o ileż lepsze są grywane nie tak rzadko utwórki Gawlika, Voglera czy Barnasia, by pozostać w obrębie starego Krakowa. Polska dramaturgia z potworkowością swych kolejnych schematów taką przeskodą być nie może.

Co więcej — „medytacja”, wychodząca spod pióra młodego dostojnika Kościoła, wyróżnia się i dojrzałością retoryki, i kulturą języka, a nawet pomysłem całościowym, który w swej polifonii dać może świetny efekt... radiowy. Scena jednak dla tego rozpisanego na głosy poetycko-moralistycznego traktatu nie będzie żadnym sojusznikiem. Obnaży bowiem wszystko, co w wersji „wypowiedzianego monologu” najsłabsze: recytacyjny patos i brak indywidualizacji charakterów, statykę wewnętrznego przeżycia i nieistnienie rozwojowego procesu akcji, sztuczność międzyludzkich kontaktów i wreszcie pod-

pierający wyjściową tezę białoczarne schemat podziału bohaterów.

Aż dziw, że tak doświadczona w aktorskim fachu i tak przenikliwie zapowiadająca się w reżyserskim rzemiośle — Anna Polony od razu ukłękła przed tekstem. W Talmudycznym szale, by nie uronić żdźbia myśli, dodatkowo utwór tekstami Wojtyły inkrustując, postawiła na intrawertyczny dialog w myśl zasady: — Mówię do partnera, niech więc on słucha mojej duszy. Zbudowała Polony całe ciągi „gestycznych westchnień”, „metafizycznych zamysłów”, „pozaziemskich spojrzeń”. W zderzeniu zaś z realistycznym sztafżem naszego „padotu placzu” (prymitywizm scenografii Ryszarda Melliiw pomocy zdecydowanie tej teatralnej kłęsce) powstał pretensjonalny kicz, nie mający nic wspólnego z poetyką Teatru Rapsodycznego, który — jak dowodzimy od lat z Bolesławem Taborskim — był naprawdę awangardowy.

Najmieszniejsza jest przygotowująca się do roli młodej Matki Dorota Segda, która inkantuje dyszkantem miłosne trele. Alicja Bieniewicz (Anna) tak jest zafascynowana swoim cierpieniem, że nie może dostrzec ani posłannictwa Aleksandra Fabisiaka, który zdołał opętać jej „białego” zięcia, ani zdroworoządkowego spojrzania „czarnego” (typa), czyli Marka Litewki, któremu biskup Wojtyła zadał od razu dwieście dni czystości. Pozostałym grozi więccej. Bo z kolan powstać nie potrafią.